

Po prostu Europa

Luboš Dobrovský

Czechy najbardziej przysłużyłyby się krajom leżącym na wschód od nich, gdyby podjęły trud zwalczania geograficznych epitetów. Bo określenia „środkoeuropejski” czy „wschodnioeuropejski” pojawiają się na przykład w przemówieniu prezydenta Sarkozy’ego jako eufemizm zwrotu „nie do końca wiarygodny” czy w sensie pełnej europejskości „poniekąd niepełnosprawny”.

Co Czechy mogą wnieść do wschodniej polityki Unii Europejskiej? Przyjaciel zadał mi to pytanie zaledwie kilka godzin po moim powrocie z międzynarodowej konferencji zatytułowanej „Droga do bezpieczeństwa europejskiego”. Wysoko postawiony unijny urzędnik Robert Cooper, profesor Mary Kaldor z London School of Economics and Political Science oraz jeszcze kilku innych mówców – wśród nich nie brakowało również referentów czeskich – przekonywało w jej trakcie, że jeśli zostaniemy zaatakowani, musimy przede wszystkim uważać, aby swoją obroną nie skrzywdzić agresora bardziej, niż jest to konieczne. Ta zasada, określana fachowym angielskim terminem *human security*, wywołała u niektórych uczestników konferencji oburzenie niehumanitarnymi działaniami wojsk izraelskich w Strefie Gazy i niezdolnością Unii Europejskiej do rozwiązania konfliktu palestyńsko-izraelskiego. O żadnym Partnerstwie Wschodnim – pisany wielkimi czy małymi literami – przez cały dzień konferencji nie padło ani jedno słowo...

Zachód wciąż ufa tylko sobie

Wydało mi się to dość osobliwe. Konferencję zorganizowano w Pradze – stolicy kraju przewodniczącego Unii Europejskiej, który leży na wschód od Brukseli. Terminu „Partnerstwo Wschodnie” nie użyto nawet w związku z nieprzyjazną decyzją dwóch niewątpliwie wschodnich krajów o wstrzymaniu dostaw gazu do Europy. Przysłuchując się uważnie konferencji, odniosłem wrażenie, że irytacja w kwestii „ludzkiego bezpieczeństwa” była całkowicie nie na miejscu. Zagrożenia dla bezpieczeństwa Europy upatrywałem przede wszystkim w niejednocnym stanowisku polityków europejskich, a także w próbach niektórych z nich, by wykluczyć z gry Czechy.

Europa akurat zderzyła się z dwoma istotnymi problemami dotyczącymi bezpieczeństwa. Symulująca spór cenowy Rosja, paradoksalnie wspierana niezrozumiałą postawą Ukrainy, już od trzech dni nie dostarczała gazu na Zachód. W tym czasie izraelska armia usiłowała powstrzymać ataki terrorystyczne. Na konferencji mówcy narzekali na brak „ludzkiego bezpieczeństwa” w Strefie Gazy, a ja martwiłem się o ministra spraw zagranicznych Karla Schwarzenberga, którego zwolennicy tej zasady uczynili odpowiedzialnym za to, że jako przedstawiciel Unii nie powstrzymał Izraela przed zupełnie legalną obroną przed terrorem Hamasu. Robert Cooper mydlił nam oczy, mówiąc, że od prezydencji Czech, kraju „wschodniego” i w pewnym stopniu europejsko niedoświadczonego, oczekuje się bardzo wiele.

Inną, ale poniekąd bardziej prawdziwą postawę niż Cooper zaprezentował francuski prezydent Nicolas Sarkozy. Nie czekając na rezultaty misji Unii Europejskiej pod kierownictwem czeskiego ministra spraw zagranicznych, stwierdził, że już osiągnął rozejm – choć bez porozumienia z Izraelem czy Hamasem, ale za to z prezydentem Egiptu Hosnim Mubarakiem. Wcześniej podobnie „załatwił” sprawę z Dmitrijem Miedwiediewem i Władimirem Putinem, dając faktyczne przyzwolenie na okupację znacznej części Gruzji. Zrobił to tak szybko, że żaden rzecznik *human security* nie zdążył nawet mrugnąć okiem. Prezydent Sarkozy w Gazie żadnego porozumienia nie osiągnął, ale jego działalność przyniosła jakiś efekt, bo jak wynika z doniesień francuskiej i po trosze niemieckiej prasy niewiara w unijną prezydencję wschodnich, postkomunistycznych Czech wydała się niektórym wielce uzasadniona. Podzielali ją publicznie niektórzy dziennikarze, a także politycy, na przykład Joschka Fischer.

Jałta nieprzewyciężona

Jakiś czas temu, około roku 1990, starałem się przeforsować tezę, że sytuacja w Europie nie ulegnie poprawie, dopóki będziemy szufladkować kraje naszego kontynentu według ich przeszłości, zamiast oceniać stopień demokratyzacji i wolności, którym cieszą się ich obywatele. Odrzucałem powtarzany podział na kraje zachodnioeuropejskie, środkowoeuropejskie czy wschodnioeuropejskie. W tym pozornie neutralnym geograficznie rozróżnieniu dostrzegałem niebezpieczne i wartościujące tendencje. Po latach widzę wyraźnie, że ów podział, jakkolwiek rozmaicie eufemizowany, pozostawił uprzedzenia w sposobie myślenia i działania europejskich polityków.

Wspomniane wcześniej wchodzenie Sarkozy’ego w kompetencje kraju, który akurat przewodzi Unii Europejskiej, jest wyrazem wynikającego z tych podziałów braku zaufania. Prezydent Francji nie jest jedynym, który tak postępuje. Nie jest też pierwszym. Były kanclerz Niemiec Gerhard Schröder, obecnie menedżer pań-

stwowej rosyjskiej firmy gazowej, ustalił taki przebieg nowego gazociągu z Rosji do Niemiec, aby omijał on nie tylko Ukrainę, ale też kraje członkowskie Unii: Polskę i kraje bałtyckie. To niewątpliwy dowód antypartnerskiego podziału Europy. Choć nie chcielibyśmy tego zauważać, przypomina on podział, który zwykliśmy nazywać jałtańskim.

Na wspomnianej konferencji o drodze do europejskiego bezpieczeństwa zadałem organizatorom pytanie, czy Europa czuje się bezpieczna. A może, jak wskazuje nazwa konferencji, tego poczucia bezpieczeństwa nam brakuje? A jeśli tak, to znaczy, że przez coś lub kogoś jesteśmy zagrożeni. Jako przykłady możliwych zagrożeń wymieniłem przerwy w dostawie gazu, groźby ataków na Polskę i Czechy, które padały z ust prezydenta i premiera jednego ze wschodnich krajów, wznowienie prowokacyjnych lotów bombowców strategicznych tegoż kraju w pobliżu granic innych państw, demonstracyjne wyprawy jego floty na wody Morza Śródziemnego, określanie w strategicznych dokumentach – znowu tego samego kraju – NATO, którego jesteśmy członkami, nieprzyjacielem. Dostałem zaskakującą odpowiedź: konferencja o drodze do bezpieczeństwa europejskiego zajmuje się innymi kwestiami niż podniesione przeze mnie i dlatego moje pytania nie będą dyskutowane.

Z tych kilku moich – może z pozoru niezwiązanych z tematem – uwag wynikają następane pytania. Jak rozumiana jest obecność Unii Europejskiej na Wschodzie? W jaki sposób postrzegać Rosję, tę gazową bombę zegarową? Jako partnera? Jeśli tak, to dlaczego brak kremlowskiego partnerstwa ma być problemem jedynie dla grupy „nowych”, „wschodnich” członków Unii Europejskiej? Czy tylko dlatego, że mało komu w Paryżu, Berlinie, Londynie czy Brukseli chce się pochylić nad zachowaniem Moskwy?

Problemem, przynajmniej dla mnie, jest stosunek „starej” do „nowej” Europy. Czyż nie jest to wciąż to samo lekceważenie krajów, które przez dziesięciolecia żyły pod politycznym, wojskowym i ekonomicznym naciskiem radzieckim? Boję się, że tak właśnie jest, że dla zachodnich polityków Europa wciąż jest podzielona. Nie chcą przyznać, że dzisiejszy reżim Putina i Miedwiediewa zachowuje się podobnie, jak zachowywał się Związek Radziecki. Cel i metody Rosji jasno nakreślił przed dwoma laty na konferencji w Monachium Władimir Putin: odnowić wielkomocarstwowe znaczenie Rosji, bo była ona dotychczas niedoceniana. Tak w Monachium, jak i w wielu późniejszych wystąpieniach Putin nie wahał się wprost mówić o różnego rodzaju wrogach bliżej nieokreślonych „rosyjskich interesów”.

Jeżeli kraje, które kiedyś wyzwoliły się spod totalitarnego panowania Moskwy, coś łączy, nie jest to położenie geograficzne, lecz wspólne dziejowe doświadczenie totalitaryzmu i jego przewyżczenie.

Potrzebny jest Wyszehrad-bis

Co Republika Czeska może przynieść temu – pisanemu małymi literami – wschodniemu partnerstwu? Za czeski rząd mówić nie mogę, a tym bardziej za skłócony parlament czy upartego pana prezydenta. Nie mam ku temu ani mandatu, ani chęci. Ale moim zdaniem, Czechy najbardziej przysłużyłyby się krajom leżącym na wschód od nich, gdyby podjęły trud zwalczania pejoratywnego znaczenia geograficznych epitetów. Określenia „środkowoeuropejski” czy „wschodnioeuropejski” pojawiają na przykład w przemówieniu prezydenta Sarkozy’ego – a także niektórych innych polityków europejskich – jako eufemizmy zwrotu „nie do końca wiarygodny” czy w sensie pełnej europejskości „poniekąd niepełnosprawny”. Nie wspomnę już o poprzedniku Sarkozy’ego, prezydencie Chiracu, który kandydatom na członków Unii Europejskiej zalecał trzymanie gęby na kłódkę.

Opowiadałbym się za tym, żeby odrzucić te geograficzne epitety we wszystkich postaciach i nie zastępować ich żadnymi innymi. Jeżeli coś łączy kraje, które kiedyś wyzwoliły się spod panowania Moskwy, to nie jest to położenie geograficzne, lecz wspólne dziejowe doświadczenie totalitaryzmu i – co ważniejsze – jego przezwyciężenie. Z tego doświadczenia wynika zdolność dostrzegania w porę gróźb i ryzyka, na które jesteśmy bardziej podatni niż ci, którzy od Moskwy nigdy nie byli zależni. To specyficzne, niezinstytucjonalizowane partnerstwo europejskie mogłoby się przejawiać w dążeniu do zharmonizowania interesów w Europie w taki sposób, aby nie było możliwe odbudowanie żadnej wielkomocarstwowej strefy wpływów, jak to miało miejsce po II wojnie światowej. W debatach toczonych w Unii Europejskiej i w NATO za mały nacisk kładzie się na bezpieczeństwo, współpracę ekonomiczną i wspólną politykę zagraniczną.

Wkrótce po rewolucyjnych przewrotach roku 1989, kiedy rozpadł się radziecki system kolonialny, narodziła się idea wyszehradzka. Jej celem było połączenie sił krajów, które wkroczyły na drogę prowadzącą do demokracji i Europy, do jej struktur bezpieczeństwa i współpracy. Ta idea – byłem wtedy naprawdę blisko tych, którzy ją tworzyli i realizowali – stawiała sobie za cel zlikwidowanie jakiegokolwiek podziału Europy innego niż według jakości i stabilności demokratycznych rządów. Ten cel osiągnęliśmy. Jesteśmy członkami NATO oraz Unii Europejskiej. Nasze systemy polityczne są tak samo stabilne, tak samo demokratyczne i tak samo oparte na wartościach, z których wyrosła demokracja, co ta część Europy, która miała szczęście nie stać się kolonią radziecką.

Życzyłbym sobie, aby przewodniczące Unii Czechy, także we współpracy z Polską, która zgłosiła projekt instytucjonalnego Partnerstwa Wschodniego, likwidowały podział geograficzny i zastępowały go przymierzem wartości, do którego mogłyby przystępować kraje niebędące jeszcze w Unii Europejskiej. Chciałbym również,

abyśmy dorosli do otwartego i dokładniejszego nazywania realnych gróźb i zagrożeń, których nadal, ze względu na „polityczną poprawność”, nikt po imieniu nazywać nie chce. To po pierwsze.

Po drugie, powinniśmy daleko bardziej, niż czyniliśmy to do tej pory, aktywować własne, dotąd politycznie niezaangażowane elity. Tak, aby wykształceni ludzie na nowo stali się tymi, którzy nie tylko mają możliwość promowania wartości, na których opiera się i funkcjonuje zdrowa, demokratycznie zorganizowana wspólnota europejska, ale żeby swą rolę odczuwali jako powinność. Należy zmierzać do aktywnego partnerstwa między europejską inteligencją wszystkich poglądów i kierunków, bez podziałów geograficznych, bez reminiscencji wrogości etnicznej, bez nieustannego wypominania win za krzywdy, których współcześni się nie dopuścili. Myślę, że jest to droga prowadząca do realnego partnerstwa i powinna być praktycznym oparciem dla wspólnej europejskiej stabilności i bezpiecznej demokracji.

Jeśli prezydent i część bliskiej mu elity przestaną hamować i poddawać w wątpliwość proces integracji europejskiej, do zatarcia podziałów przyczynią się także Czechy. Byłby to wysiłek, który przywróci wiarę w czeską politykę i wzmocni europejskie partnerstwo. Nie tylko wschodnie. ❄

Przełożyli Judyta Lubacha i Łukasz Grzesiczak

Luboš Dobrovský jest dziennikarzem, tłumaczem, politykiem i dyplomatą. W latach 1959-1968 pracował w Czeskim Radiu (w latach 1967-1968 był korespondentem w Moskwie). W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych pracował jako magazynier, palacz, mył także okna. W samizdacie publikował tłumaczenia z języków rosyjskiego i polskiego. Po grudniu 1989 roku był między innymi rzecznikiem Forum Obywatelskiego, wiceministrem spraw zagranicznych Czechosłowacji, ministrem obrony Czechosłowacji. W latach 1992-1996 szef Kancelarii Prezydenta Republiki Czeskiej. W latach 1996-2000 ambasador Czech w Moskwie.